Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem

JEDNOTA

ORGAN POLSKIEGO KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK VIII | WARSZAWA, LISTOPAD 1933 R. | Nr. 11

Redaktor Odpowiedzialny: Ks. St. SKIERSKI
Adres Redakcji:
Warszawa, ul Leszno Nr. 20 m. 4. Tel. 11.38-32.

Wydawca:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji—Leszno 20. Tel. 11 46-32

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł. 12; półrocznie zł. 6; kwartalnie zł. 3, Pojedyńczy numer zł. 1.50

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423

TREŚĆ NUMERU

1. *Ks. K. Ostachiewicz.* Bądź wola Twoja . . 153
2. *Ks. Emil Jelinek.* — Babtyści 155
3. *Lector.* — Niemcy a Francja 157
4. *Ks. W. Buksbazen.* — O chrześcijańskiem stanowisku wobec Żydów 159
5. *P. Hulka-Laskowski.* — Przesilenie ewangelicyzmu w Niemczech 161
6. *P. Hulka-Laskowski.* — Książka o Dymitrze Solikowskim 163
7. Dusza Północy (Recenzje krytyczne) . 165
8. Wiadomości z Kościoła i o Kościele . . . 167
9. Porządek nabożeństw 168

ROK VIII WARSZAWA, LISTOPAD 1933 R. Nr. 11

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr. 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

„BĄDŹ WOLA TWOJA".

Mat. 6_{10}.

Nie będę zastanawiał się w tem rozmyślaniu nad istotą woli Boga, ani nad jej przejawami w naszem życiu. Pragnę tylko zwrócić uwagę na jeden moment charakterystyczny i bardzo prosty, wypływający z ustosunkowania się naszej woli do woli Boga, a dający nam w wielu wypadkach codziennego życia niezawodną, praktyczną wskazówkę do poznawania woli Boga.

Życie nasze składa się przeważnie z drobnych rzeczy. W codziennej naszej modlitwie winniśmy więc prosić Boga o pełnienie się Jego woli na świecie i przy nas właśnie w tych drobnych rzeczach. Tak też często czynimy. Czasami prosimy o to z wielką gorliwością. Ale nie zważając na to pełnimy i utrwalamy własną wolę. Uświadamiamy ją sobie przez chęć lub niechęć do czegoś i czynimy przeważnie to, co chcemy, a zaniedbujemy to, czego nie chcemy, t. j. kierujemy się w życiu popędami naszych własnych chęci lub niechęci. Ponieważ w większości wypadków nie zastanawiamy się wcale nad ustosunkowaniem się tych naszych chęci lub niechęci do woli Boga w codziennem życiu naszem, jesteśmy w ustawicznej z nią rozbieżności i codzienna nasza modlitwa: „Bądź wola Twoja" staje się dla nas z biegiem czasu coraz mniej potrzebną i wykreślamy ją wreszcie z naszego życia.

Już z tego krótkiego rozważania może nam się nasunąć pytanie, czy to, co zaniedbujemy, nie jest właśnie w wielu przypadkach bliższem prawdy, a to, co czynimy, czemś, co sprzeciwia się raczej woli Boga. I bodaj czy, snując dalej myśl naszą, nie dojdziemy do wniosku, że wolą Boga będzie najczęściej to właśnie, czemu wola nasza sprzeciwia się. Weźmy przykład z życia codziennego. Jestem zupełnie zdrów, ale nie chce mi się wstawać z łóżka,

myśl dobrze pracuje; albo mam do załatwienia jakąś sprawę w mieście, ale na dworze niepogoda, nie chce mi się wyjść i pozostaję w domu, wybieram raczej zajmującą rozmowę lub książkę, aniżeli przykry obowiązek. Naturalnie, należy tu wyeliminować wszystkie przejawy, wypływające z braku sił lub zdrowia, a może i inne jeszcze. I oto przychodzimy do absurdalnego na pierwszy rzut oka wniosku: należy częstokroć czynić raczej to, czego nie chcemy, a zaniechać tego, co chcemy czynić. Innemi słowy: płynąć przeciw prądowi. Wówczas będziemy bliżej prawdy. Celem człowieka na ziemi jest bowiem uzgodnienie woli własnej z wolą Boga, przyjęcia woli Boga za własną. Wtedy dopiero niechęć przechodzi w chęć i odwrotnie.

Bądź wola Twoja! W tej modlitwie prosimy o dobro, prawdę i piękno na świecie, — o zlanie wiary, nadziei i miłości do serc naszych. Bądźmy konsekwentni. Pan Bóg pragnie, żeby zaistniało na ziemi życie pełne światła, czystości moralnej, mocy i miłości. Ale pragnie jednocześnie, by to życie powstawało i utrwalało się przez nas, za naszem pośrednictwem. Czy nie mówią nam o tem wewnętrzne, utajone tęsknoty serc naszych mimo czynnego sprzeciwu naszego? Czy nie wartoby zatem zainteresować się poważnie tem, w jaki sposób Pan Bóg pragnie tęsknoty te realizować i poznać wolę Boga w jej zastosowaniu do codziennego, szarego życia. Wolę tę mamy objawioną w księdze zjawisk natury, w Piśmie Świętem i w księdze życia i współżycia ludzkiego.

Ale oto spostrzegamy, że jeden z rozdziałów tej ostatniej księgi, pisanej przeważnie przez człowieka naturalnego, zaleca nam czynić wszystko to, co chcemy, a zaniechać tego, czego nie chcemy. Odczytujemy z prawdziwem upodobaniem rozdział ten codziennie. Znamy go na pamięć. Treść jego wsiąkła nam przeto w krew i unerwienie tak, że uważamy już za rzecz zupełnie naturalną kierowanie się w życiu własnemi chęciami lub niechęciami.

Na kilkaset metrów przed wodospadem Niagary widnieje ogromny szyld z wypisanem na nim ostrzeżeniem przed grożącem niebezpieczeństwem. Rozważanie niniejsze jest podobnym znakiem ostrzegawczym dla przechodniów przez życie, uważających za zupełnie naturalne kierowanie się w życiu własnemi wyczuciami. Znak ten streszcza się w tych słowach: Stój! bracie. Zbliżasz się coraz to szybciej ku przepaści, w której znajdziesz niechybnie śmierć. Chęci twoje są ułudą, a nie wynikiem istotnej, życiowej mądrości, a to, ku czemu odczuwasz niechęć, jest raczej bliższem prawdy. Zastanów się i zbadaj drogę. Księga życia i współżycia jest pisaną przeważnie przez ciebie samego, a natura twoja jest dogłębnie spaczona. Księga ta wskazuje ci raczej, jak nie masz postępować, czego masz się wystrzegać. Jeżeli pełnisz to, co chcesz, i sądzisz, że to dobre, to dlatego, że przyzwyczaiłeś się do tego od kołyski bodaj, że otoczenie twoje również tak sądzi. Ale z siebie pełnić możesz tylko swoją grzeszną wolę, natomiast nie jesteś w stanie pełnić dobrej woli Boga. Masz w sobie dwuch ludzi: człowieka wewnętrznego i zewnętrznego. Czynisz to, co chce twój zewnętrzny człowiek, a co jest nienawistnem dla wewnętrznego; i odwrotnie — nie czynisz tego, co jest nienawistnem dla zewnętrznego człowieka, a co jest upragnionem przez wewnętrznego. Nosisz w sobie nie jedną, ale dwie wole, nawzajem zwalczające się. Stąd grzech twój i słabość. Pragnienie wewnętrznego człowieka — to wola Boga w tobie, ale realizowanie jej nie leży w twojej mocy. A jednak pokój wewnętrzny, którego tak pragniesz, może zaistnieć w tobie tylko wtedy, gdy kierować się będziesz jedną wolą, wolą wyższą, wolą Bożą. Tego cudownego ujednostajnienia woli dokonywa w nas Zbawiciel. I to nazywa się zbawieniem.

Ks. K. Ostachiewicz.

Ks. EMIL JELINEK.

BABTYŚCI.

Sekciarstwo jest tak stare jak Kościół. Starotestamentowi Saduceusze i Esseńczycy, zwani także Terapeutami t. j. uzdrawiaczami [1]), to sekciarze religji izraelskiej. Również i w Nowym Testamencie czytamy o istnieniu sekty Nikolaitów (Objaw. Jana 2_6). Na przestrzeni wieków istnienia Kościoła chrześcijańskiego nigdy nie brakło ludzi inaczej myślących, niż im to Kościół nakazywał.

Czasy powojenne szczególnie sprzyjają rozwojowi sekciarstwa. Wbrew intencjom Wolnomyślicieli materjalizm i racjonalizm całkowicie zbankrutowały. Poza rozterką duszy nic zgoła one człowiekowi nie dały. Konsekwentnym ich skutkiem był całkowity relatywizm: wszystko na świecie jest wielkością względną i zależy od naszej umowy. To co dziś nazywam wartością, jutro nią być przestaje, ponieważ życie, będące wypadkową pewnych sił, pobiegło już w zgoła innym kierunku. Ze zmianą warunków życia, zmienia się także jego wartość i sens. Człowiek jednak nie może poprzestać na takiej kalejdoskopowej zmienności. Szuka on stałego oparcia w religji i świecie ponadzmysłowym, nurza się w ezoteryzmie i kabalarstwie. Dzisiejsze więc czasy znamionuje z jednej strony rozwój antropo- i teozofji, wszelkiego rodzaju nauk tajemnych, popyt na wróżbitów, z drugiej — zwrot do diwinizmu i religjonizmu, a co za tem idzie i rozwój sekciarstwa.

Człowieka zawsze popychał i popycha w objęcia sekciarstwa z jednej strony jego liberalizm, zmierzający do wyłamania się z pod wszelkiego autorytetu, pęd do indywidualizmu, subjektywizmu i spirytualizmu, z drugiej zaś strony—pewne skostnienie, zmechanizowanie i zmaterjalizowanie Kościoła. Poza tem wszystkiem niewątpliwie gra tu rolę dzisiejsza tolerancja i szanowanie cudzych przekonań. Kościół Rzymsko-Katolicki, który uzależnił zbawienie od przyjęcia swej nauki i pod groźbą ognia piekielnego wpoił w swych wiernych ślepe posłuszeństwo dla siebie, posiada sekt najmniej. Więcej posiada ich Kościół Ewangelicko-Augsburski i Kościół Grecko-Katolicki albo Prawosławny, ale najwięcej posiada ich Kościół Ewangelicko-Reformowany, który zawsze żywił dla ludzkich przekonań jaknajdalej idącą tolerancję i zbawienie uzależnił nie od przyjęcia systematu swej nauki, ale od indywidualnej wiary człowieka. Ponadto w Kościele Ewangelicko-Reformowanym od początku jego istnienia przejawiała się pewna skłonność do spirytualizmu i indywidualizmu, zrywających z wszelką normą i schematyzmem. Uchroniło go to wprawdzie od skostniałej ortodoksji, którą przeżywał niegdyś Kościół Ewangelicko-Augsburski ale przysporzyło mu to wiecej sekciarzy. Sam Kalwin nie był może tak tolerancyjnie nastrojony, ale w najgłębszej swej istocie tolerancyjnym był duch jego teologji, która przeniknęła i ożywiła Kościół Ewangelicko-Reformowany. Uniwersalna myśl Kalwińska przezwyciężyła wszelkie separatyzmy stanowe, narodowościowe i przekonaniowe i na skrzydłach żywej wiary wzbiła się orlim lotem ponad drobne różnice ludzkie, łącząc wszystkich powołanych i wybranych Bożych w jedno ciało Chrystusowe — civitas Dei. Nawet surowa predestynacja Kalwińska, później wydatnie przez Kościół Ewangelicko-Reformowany złagodzona, choć rozbiła ród ludzki na połowy, na civitas Dei i civitas diaboli, na wybranych i na zatraconych, nie wykreśliła jednak z uniwersalnego, powszechnego, katolickiego Kościoła Chrystusowego ludzi inaczej myślących. Na podłożu tak szeroko pojętej tolerancji musiał się rozwinąć duch sekciarstwa.

Słowo sekta pochodzi od łacińskiego wyrazu secare—odcinać, a zatem sekta w ścisłem tego słowa znaczeniu to „wycinek", część wyodrębniona z całości. Niektórzy jednak wyprowadzają to słowo ze słowa łacińskiego sectari — towarzyszyć, uganiać się za czemś. I to tłumaczenie jest możliwe, a wskazuje ono na to, że sekta „ugania się" zwykle za pewną ideą, która staje się jej cechą charakterystyczną. Mniej więcej to samo oznacza, raz w całym Nowym Testamencie użyte, greckie słowo hajrezis—herezja, myśl wyodrębniona. Sekta więc jako taka nie tworzy organicznej całości w sobie, ale jest wyodrębnioną z pewnej całości częścią, pielęgnującą swoje odrębne upodobania i idee (najczęściej tylko jedną), przyczem wszystkie pozostałe właściwości posiada takie same, co i całość, z której powstała. Na miano kościoła w przeciwstawieniu do sekty, zasługuje tedy tylko ta społecznoąć religijna, która w sposób oryginalny i swoisty ujmuje istotę chrześcijaństwa. Takimi więc Kościołami są: Rzymsko-Katolicki, Grecko-Katolicki, Ewangelicko-Augsburski i Ewangelicko-Reformowany. Oczywiście, nie znaczy to, żeby w szerszem i popularnem zrozumieniu nie były „Kościołami" sekty lub nawet obrządki. W praktyce do tego tytułu ma prawo każda społeczność religij-

[1]) Porównaj dzisiejszych Scijansystów, po niemiecku Gesundbeter — Związek Wiedzy Chrześcijańskiej.

na, a więc może być nie tylko Kościół Rzymski czy Reformowany, ale również Kościół Babtystów, Kościół Anglikański, Kościół Grecko-Unijny, Kościół Ewangelicko-Unijny i t. p. [1]).

Wszystkie sekty możnaby ująć w trzy zasadnicze typy. Do pierwszego, najradykalniejszego typu należą sekty o pokroju spirytualistyczno-marzycielskim. Indywidualizm religijny osiąga w nich punkt kulminacyjny i często sprowadza je z gruntu chrześcijańskiego, pozostawiając tylko frazeologję biblijną. Do nich możnaby zaliczyć Kwakrów, Zielonoświątkowców, Chłystów, Duchoborców albo Mołokanów, Skopców, Mormonów, Badaczy Pisma Św., Scyjansystów i t. p. Do drugiego typu najliczniejszego i najżywotniejszego należą te sekty, które kładą nacisk na jedną, odrębną ideę, pozostałe zaś mają wspólne z Kościołem, z którego powstały. Sekty tego typu często poważają swoje społeczności za „zbory świętych", których członkowie posiadają materjalne piętno przynależności do grona wiernych uczniów Chrystusowych. Piętnem takim u jednych jest chrzest (Babtyści), u drugich szczególnie przeżyte nawrócenie (Metodyści), u innych sukcesja apostolska (Irwingjanie albo Zbory apostolskie), a nawet święcenie pewnych dni np. soboty (Adwentyści). Te zennętrzne znamiona uważane są niejednokrotnie za konieczne i niezbędne do zbawienia. Dalszą cechą charakterystyczną sekt tego typu jest wrogie ustosunkowanie się do dużych Kościołów, szczególnie do tych. z których wzięły początek. Macierzyste swe Kościoły poważają za społeczności zupełnie zeświecczone, a ich duchowieństwo—za pozbawionych „ducha" urzędników. Stąd agresywny ich stosunek do Kościoła, któremu zawdzięczają swe istnienie. Jako opozycja przeciwko rzekomemu zeświecczeniu Kościoła Anglikańskiego powstają Darbiści i Metodyści, dalszą zaś opozycję przeciwko „zeświecczeniu" Kościoła Metodystów jest Armja Zbawienia (Salvation Army). Trzeci wreszcie typ stanowią sekty o pokroju racjonalistycznym, odnoszące się negatywnie do pewnych nauk Kościoła, z którego powstają. Ich nauka jest więc niejako zredukowaną nauką kościelną. Socynjanie np. odrzucają ogólno-chrześcijańską naukę o Trójcy Św., Arminjanie—kalwińską predestynację, Starokatolicy—prymat papieski i t. d.

Jedną z licznych sekt Kościoła Ewangelicko-Reformowanego są Babtyści, których możnaby zaliczyć do drugiego typu sekt [1]).

Babtyści zupełnie słusznie wywodzą swą nazwę od greckiego słowa baptisma — chrzest, to jest tej jedynej a podstawowej rzeczy, która ich różni od wyznawców Kościoła Ewangelicko-Reformowanego. Babtyści powołują się mianowicie na pewne (nie na wszystkie) cytaty z Pisma Św. [1]) i chrzczą tylko ludzi dorosłych, mogących własnemi usty wyznać wiarę w Jezusa Chrystusa. Samo ujęcie istoty sakramentu Chrztu Św. jest takie, jakie stworzył Kościół Ew.-Ref., choć znaczenie jego jest niepomiernie większe od tego, które mu przypisuje ten ostatni. W najogólniejszem chrześcijańskiem ujęciu Chrzest Św. jest widzialnym znakiem przyjęcia do społeczności Kościoła Chrystusowego, jest „pieczęcią" (po grecku sfragis) nowego przymierza z Bogiem, podobnie jak w starem przymierzu (w Izraelu) taką pieczęcią była obrzezka. Dla Babtysty jednak Chrzest Św. jest znakiem przyjęcia do widzialnego zboru, a raczej do społeczności „nawróconych" i „wierzących" chrześcijan. Tem samem Chrzest Św. staje się nieledwie jedynym warunkiem zbawienia. Słowem ma on dla dzisiejszego Babtysty mniej więcej takie same znaczenie jak w I wieku po Chrystusie dla Judeo-chrześcijanina obrzezka i przestrzeganie narówni z pozostałymi Żydami zakonu Mojżeszowego. Wiadomo, że ap. Paweł silnie przeciwko temu występował i wołał: niczem jest obrzezba, niczem też jest i nieobrzezka, ale jedyną wartość posiada tylko wiara, przejawiająca się w czynach miłości i miłosierdzia. Kto już zaś chce przestrzegać przepisu obrzezki, winien być konsekwentny i przestrzegać cały zakon Mojżeszowy: w nim winien szukać usprawiedliwienia, a nie w Chrystusie [2]). Nic też dziwnego, że dalszym konsekwentnym rozwojem „sekciarstwa" Babtystów są Sabatyści, świętujący sobotę i niejadający wieprzowi-

[1]) Podobnie rzecz się ma z tytułem „ksiądz". Kościół Rzymsko-Katolicki niewiadomo z jakiej racji zastrzega prawo używania tego tytułu tylko dla swych duchownych. W języku polskim jednak „księdzem" jest nie tylko duchowny katolicki, ale także i duchowny ewangelicki, a więc i kaznodzieja babtystów, podobnie jak w języku duńskim „söre" oznacza duchownego ewangelickiego i katolickiego. Rozumie się, że duchowny ewangelicki w przeciwieństwie do duchownego katolickiego nie rości sobie prawa do kapłanstwa. Ewangelicyzm uznaje tylko powszechne kapłaństwo z Chrystusem jako arcykapłanem na czele, natomiast nie zna ani ołtarza, ani ofiary. I dlatego niewiadomo dlaczego bracia luteranie używają słowa „ołtarz", zamiast starego, pięknego „stołu Pańskiego" — Trapedza Kyrjake.

[1]) Słowa te mogą urazić Braci Babtystów, albowiem gotowi są oni wywodzić swój początek, jeśli już nie od samego Chrystusa, tedy przynajmniej od apostołów (por. np. M. S. Lesik: Kto są babtyści, 1930, str. 6), podczas gdy Kościół Ew.-Ref. wywodzi swój początek skromnie z XVI w. pochrystusowego. Za to Braci Babtystów najserdeczniej przepraszam i jednocześnie wyjaśniam, że słów „sekta" i „sekciarstwo" nie używam w pogardliwem zrozumieniu. Wiem bowiem, aż nazbyt dobrze, że jedynozbawczy Kościół Rzymski używa takiego samego miana, tylko w innym nieco sensie, na określenie Kościoła Raformowunego i jego wyznawców. W obliczu więc tego Kościoła zarówno Brat Babtysta, jakoteż i piszący te słowa, to jednacy sekciarze, heretycy i kacerze, czem zresztą ten ostatni szczerze się szczyci i chlubi.

[1]) Por. 1 Kor 7_{19} i Gal 5_6, a także Rzym 2_{25-29}, $3_{1,30}$, $4_{9,10-12}$, 15_8, Gal 2_{3-16}, 5_3, 6_{13}, Efez 2_{11}, Fil 3_3, Kol 2_{11}, Tyt 1_{10} i t. p.

[2]) Por. Gal 5_{3-6}.

ny. Te właściwe rzeczy ich zbawiają, a nie Chrystus.

Samo założenie chrztu dorosłych jest logicznie słuszne. W praktyce prowadzi ono jednak do pewnej kazuistyki faryzejskiej i literalizmu. Wystarczy bowiem ochrzcić się w wieku dorosłym, aby stać się prawdziwym uczniem Chrystusowym i nabrać cech pewnego uświęcenia. Wprawdzie chrzest ma być tylko pieczęcią, potwierdzeniem wyznania wiary, ale w rzeczywistości staje się jakimś „bałwanem", którego się czci i któremu się służy, a który decyduje o zbawieniu człowieka. Wątpliwa to rzecz, czy Chrystus, wytykający Żydom zlokalizowanie prawdziwego kultu Bożego na tej czy innej górze świętej, stanąłby na stanowisku Babtystów. Zresztą litera nie ożywia, a zabija.

Również i historycznie chrzest dorosłych jest poniekąd usprawiedliwiony. Z natury rzeczy aż do III wieku po Chrystusie włącznie istniał t. zw. katechumenat. Katechumeni t. j. uczniowie (nasi konfirmandzi) rekrutowali się wyłącznie z pośród dorosłych pogan. Katechumenat trwał kilka miesięcy, niekiedy nawet kilka lat. Katechumen zanim przez chrzest został przyjęty do społeczności chrześcijan, zwanych także oświeconymi (po grecku fotidzomenoi), musiał wprzód poznać Chrystusa i treść Jego Ewangelji. Do chwili chrztu był traktowany jako niewtajemniczony do wielkiego misterjum chrześcijańskiego i mógł być obecny tylko na pierwszej dydaktycznej części nabożeństwa, której przysłuchiwał się, stojąc w przedsionku świątyni. W drugiej części komunijnej, traktowanej jako misterjum, mogli wziąć udział tylko wtajemniczeni, oświeceni, ochrzczeni [1]). Katechumen dostatecznie przygotowany, po odpowiednim poście i oczyszczeniu, przywdziewał białą szatę, wyrzekał się djabła (abrenutiatio diaboli), wyznawał wiarę w Jezusa Chrystusa i przez pokropienie, polanie lub nawet zanurzenie był chrzczony w imię Boga w Trójcy Św. Jedynego [2]).

Obok jednak tej instytucji katechumenatu, którą moglibyśmy dziś przyrównać do misyj wśród pogan, chrzczącej tylko ludzi dorosłych, istniał od początku w Kościele chrześcijańskim zwyczaj chrzczenia dzieci, oczywiście, tylko dzieci rodziców chrześcijańskich. Ojciec Kościoła Origenes, który niezawodnie lepiej od nas współczesnych wiedział jak się rzeczy miały w pierwotnym Kościele (umarł w roku 254), w swym komentarzu do listu ap. Pawła do Rzymian pisał: „Kościół przyjął od apostołów, że dzieciom chrztu udzielać należy". Na synodzie w Kartaginie (r. 252) zawzięcie dysputowano nad tem, kiedy należy udzielać chrztu dzieciom, czy ósmego dnia po urodzeniu, czy też jeszcze wcześniej. Pierwszym, który wystąpił przeciwko chrzczeniu dzieci, był Ojciec Kościoła Tertuljan (około r. 200). W jego więc osobie Babtyści śmiało mogą upatrywać swego poprzednika, bo nikt inny przed Tertuljanem nie gorszył się chrztem dzieci. Wystąpienie Tertuljana jest najlepszym właśnie dowodem, że od początku istnienia Kościoła chrześcijańskiego chrzczono nietylko dorosłych pogan (bo inaczej przecież być nie mogło), ale chrzczono również i niemowlęta chrześcijańskich rodziców. Dzisiejsi zwolennicy Tertuljana winniby o tem pamiętać i nie przekręcać faktów historycznych, a ponadto z Pisma Św. cytować i te miejsca, w których jest mowa o chrzcie dzeci (np. Dzieje ap. 2_{39} a nawet Dzieje ap. 16_{33} i t. p.). Wprawdzie w całym N. Testamencie niema miejsca, któreby wyraźnie nakazywało chrzest dzieci, ale również niema miejsca, któreby go zabraniało. Nigdzie też nie spotykamy najmniejszego śladu, któryby dowodził, że chrzest dzieci poczęto stosować dopiero w późniejszych czasach, co dowodzi, że znany on był w Kościele od początku i jako zwyczaj powszechnie znany i stosowany w ciągu pierwszych dwóch stuleci nie wywoływał żadnego sprzeciwu. (c. d. n.)

[1]) Ten podział nabożeństwa na dwie części zachował się jeszcze w mszy katolickiej w t. zw. missa infidelium i missa fidelium choć dziś już praktycznego znaczenia nie posiada. Ewangelicyzm te dwie części rozbił na dwa niezależne od siebie nabożeństwa: nabożeństwo Słowa Bożego i nabożeństwo Sakramentu Wieczerzy Św.

[2]) Katechumen białą szatę (symbol czystości) nosił cały tydzień, a że chrzest odbywał się zwykle w okresie Świąt Wielkanocnych, stąd pierwsza niedziela po świętach nosi nazwę Dominica alba (biała niedziela).

NIEMCY A FRANCJA.

Już od początku wojny światowej trwa dyskusja na temat wartości duchowych, jakie reprezentują z jednej strony Francja, z drugiej — Niemcy. Francuzi podkreślają mocno swoją „latinité", uniwersalność, demokratyzm, przeniesiony na teren międzynarodowy, i zarzucają Niemcom północną mglistość, ciasnotę nacjonalistyczną i rasową, imperjalizm. Najwybitniejsi krytycy niemieccy, którzy zabierali i zabierają głos w tej dyskusji, nie

przeczą temu wprost, ale starają się wykazać, że łacińska jasność, którą chlubią się Francuzi, nie jest znowu taka powszechna we Francji.

Zgadzają się dyskutanci niemieccy, że Francuzi rzeczywiście są demokratami zasadniczymi i że uznają powszechną równość między narodami, ale właśnie tej zasady równości używają jakoby dla narzucenia swej przewagi światu. Zarzut bądź co bądź oryginalny. Francja istotnie, nigdy nie była militarystyczna i zawsze widziała w armji litylko narzędzie demilitaryzacji świata, podczas gdy w Niemczech armja była zawsze traktowana jako narzędzie do zdobycia potęgi, mogącej narzucić swoją wolę innym narodom.

Od strony Francji szły na Europę idee, które podbijały narody europejskie dla kultury francuskiej mocą tych idej, bez użycia jakiejkolwiek siły fizycznej. Między Francją a narodami, które walczyły ongi z Ludwikiem XIV, czy Napoleonem wytwarzały się później nietylko stany pokoju i sojuszów, ale stany serdecznego porozumienia. Francja była dla członków innych narodowości drugą ojczyzną, a Paryż nie przestawał być stolicą świata.

Takiego stosunku do siebie nie umiały Niemcy wytworzyć nigdy. Nie umiały i nie chciały. Ich najwyższym ideałem było wytworzenie takiej potęgi, która zapanowałaby nad światem i która wzbudzałaby strach we wszystkich. Trzeba dodać, że Francja nigdy i nigdzie nie zabiegała specjalnie o sympatje świata: zdobywała je bezwiednie swoim uniwersalizmem, swojemi rewolucyjnemi zasadami równości wszechświatowej. Doszło nawet do tego. że powodzenie jej kultury zacieśniło jej własny horyzont: Francją interesował się cały świat, Francja nie interesowała się tym światem.

I oto dzisiaj jaśniej niż kiedykolwiek zarysowują się przeciwieństwa między niemiecką „Kultur" a francuską „civilisation". We francuskiem pojęciu cywilizacji jest ujarzmienie natury, uduchowienie, jej zrytmizowanie. W sztuce i nauce francuskiej wyraża się umiar przedewszystkiam. Niemcy dążą do jakiegoś mglistego absolutu, gubią się w mrokach różnych romantyzmów i tracą z oczu to, co jest bliskie, wyrażalne i poznawalne. Jeden z krytyków francuskich antagonizm niemiecko-francuski wyraził w dwóch słowach: cywilizacja i natura. Francja to duch, Niemcy to żywioł nieopanowany.

Do tej ciekawej dyskusji przybywają coraz nowe głosy. Ostatnio w jednym z czeskich dzienników ukazał się artykuł wstępny J. B. Kozáka: „Marcin Luther". Artykuł ten napisany z okazji 450-tej rocznicy narodzin wielkiego Reformatoru, ma w podtytule: „Wolność sumienia a kościelnictwo państwowe". Kozák zwraca uwagę, że reformacja Lutra wykonała niesłychanie wiele dobrego. ale nie w Niemczech, lecz przedewszystkiem w krajach skandynawskich, gdzie ugruntowała demokrację, pracowitość i tę zacność, jaka cechuje przedewszystkiem Duńczyków. Nie było tam nigdy imperjalizmu pruskiego.

Natomiast w Niemczech reformacja Lutra pozostała dziełem połowicznem, nie wytworzyła demokracji i nie stała się rewolucją w całem znaczeniu słowa. Aż dziw, że Luter zwracał się przedewszystkiem „do szlachty chrześcijańskiej narodu niemieckiego" i bardzo ostro wystąpił przeciwko ludowi, który wtedy sięgał po swoje prawa do wolności. Reformację Lutra przeprowadzili wielcy panowie i wykorzystali ją dla swoich wielkopańskich celów. „Gleichschaltung — powiada Kozák — była owocem luterstwa już w roku 1555 na Reichstagu w Augsburgu... Zamiast kościoła panującago nastały czasy kościoła opanowanego z tem samem zeświecczeniem i z temi gwałtami wojen o panowanie nad światem, na jakie narzekało się w czasach, gdy Rzym chciał opanować świat przy pomocy swoich intryg, nauk i wojen".

Gdy jeszcze przed niewielu laty pisarze francuscy zarzucali Niemcom niejasność i twierdzili, że ich demokracja jest tylko pozorem, jak i cały ich przypadkowy republikanizm, mogło się to niejednemu wydawać przesadą, dzisiaj w perspektywie „rewolucji" niemieckiej, którą należałoby raczej nazwać „dewolucją", czyli rewolucją na opak słowa krytyki francuskiej nabierają specjalnego znaczenia. Demokracja francuska wyczuła trafnie, że romantyzm niemiecki istnieje w dalszym ciągu i że świat może się doczekać wielkich z jego strony niespodzianek.

Ferrero, znakomity pisarz włoski, wykazał. że w świecie łacińskim nawet wojna była cywilizowana i wielcy wodzowie dbali zawsze o to, aby cele polityczne osiągać kosztem jak najmniejszych ofiar własnych i przeciwnika. Była jeszcze rycerskość w dawnych wojnach cywilizacji łacińskiej. Niemcy wprowadzili w życie absolut i uznali, że absolutna wojna musi być okrutną i bezwzględną. Taką też się stała. A teraz wytwarza się nową postać potęgi, „Macht". opartą na rasie i wbrew wszelkiei logice kojarzy się potęgę niszczycielską z potęgą chrześcijaństwa, która jest miłością, nie nienawiścią, pokorą. nie pychą, gotowością służenia, nie pragnieniem panowania. Co z tego chaosu powstanie, trudno przewidzieć. Byłoby szczęściem dla świata, gdyby z tej mgławicy powstał nowy świat umiaru i formy klasycznej, a zarazem świat równości wszystkich.

Lector.

Ks. W. BUKSBAZEN.

O CHRZEŚCIJAŃSKIEM STANOWISKU WOBEC ŻYDÓW.

Trujące opary nienawiści rasowej, buchające z kotła niemieckiego, sięgnęły już i na naszą ziemię i mącą umysły niektórych naszych współwyznawców. Pojawiają się więc od czasu do czasu na łamach naszej prasy ewangelickiej głosy i hasła, które są tylko mniej lub więcej wiernem echem wypadków niemieckich. Wobec tych haseł, które w dodatku chcą uchodzić za chrześcijańskie i ewangelickie, należy wreszcie zająć stanowisko i wystawić je na działanie Światła Słowa Bożego, boć dla nas ewangelików chyba tylko Słowo Boże może być miarodajne w ocenie tego, co nam się podaje, jako stanowisko ewangelickie.

Przed paru tygodniami przeczytałem w numerze październikowym „Głosu Młodzieży Ewangelickiej" artykulik p. Adolfa Badury p. t. „Moje stanowisko wobec Żydów". Temat bardzo poważny, niestety, potraktowany został w sposób powierzchowny, nieprzemyślany do końca, a co gorsze szkodliwy dla ewangelicyzmu polskiego, ponieważ autor wypowiada tam myśli, które sieją nienawiść. Nienawiść zaś jest jak jadowita żmija, — nie wiadomo na kogo i kiedy naprzód się rzuci, zawsze bowiem pragnie ofiary. Niebezpieczną jest rzeczą nauczyć się nienawidzieć, bo można łatwo zapomnieć jak kochać. Myśl o tem, że to co w tym artykuliku zostało wypowiedziane podaje się szerokim warstwom ewangelickim jako pokarm duchowy, i pewne zawstydzenie, że ma to być rzekomo stanowisko ewangelickie, skłoniło mnie, żeby zająć w tej sprawie głos i zawołać: Nie, Panie Badura, to co Pan napisał jest wszystkiem innem, ale nie jest chrześcijańskie, ani ewangelickie!

Na wstępie swojego artykułu dowodzi p. A. Badura, że Żydzi są „cudzą" (dosłownie) rasą i wskutek tego posiadają pewne cechy, które różnią ich od Aryjczyków. Tych cech Żyd ponoć ma nie być w stanie nigdy zatracić, ani przez zmianę wyznania, zaś z potomstwa pochodzącego z mieszanych małżeństw też niema pociechy. Pozatem „Żyd jest zawsze materjalistą, jednostronnie tylko nastawionym na swoje tylko osobiste korzyści, my zaś — ewangelicy, wywodzi dalej autor, chcemy być idealistami". Drogą do realizacji tego „idealizmu" ma być bojkot społeczny i gospodarczy Żydów „my chcemy ewangelikami być i daleko od nich się trzymać".

Należy podziwiać spostrzegawczość i niezwykłą bystrość umysłu p. A. Badury! Że też tak Pan odrazu spostrzegł, że Żydzi są „cudzą rasą". Ale czy to naprawdę takie straszne, że posiadają inną niż Aryjczycy strukturę psychiczną? Zdaje mi się, że nie. Skoro Bóg stworzył różne rasy i narody, to wolno przypuszczać, że z każdym z tych narodów ma swój plan i bynajmniej nie pragnie, aby się one stopiły w jakiś bezbarwny konglomerat, ale by każdy naród swoistem zabarwieniem przyczyniał się do pięknej harmonji Bożego Królestwa. Pewnie, że niektóre cechy Żydów, często nabyte w ciągu wiekowej tułaczki i wśród anormalnych warunków bytu, mogą dla nas być niesympatyczne. Ale my, cośmy uczynili dla pozyskania ich dla Jezusa i dla Jego prawdy? Serdecznie mało! Ba — swojem niechrześcijańskiem a czasem i nieludzkiem stanowiskiem zacieraliśmy przed nimi Jego obraz, bo, patrząc na nas, często sądzić mogli, że i On jest do nas podobny.

Każdy naród, który nie idzie drogą Chrystusową skazany jest na degenerację i zagładę zarówno duchową jak i fizyczną, choćby to był naród tak szlachetny, jak nordycka rasa germańska. Tam zaś, gdzie światło Chrystusa zabłyśnie, właściwości każdej rasy zostają uszlachetnione i rozkwitają pełną krasą ku chwale Bożej i na pożytek rodu ludzkiego. Pewnie, że nie potrzebujemy „przechrzczonych pół i ćwierć Żydów", którzy tylko figurują w naszych księgach parafjalnych, bo z nich naprawdę nie mamy żadnego pożytku, tak jak nie mamy pożytku z wielu miljonów „urodzonych" chrześcijan bez Chrystusa. Módlmy się jednak o to, aby Bóg raczył dać naszym czasom jak najwięcej takich Żydów, którzyby, jak ongiś apostoł Paweł, spotkali na swej drodze Żywego Chrystusa, a będziemy pewni, że w następstwie zmienią oblicze naszej ziemi tak, jak to kiedyś uczynił pewien Żyd z Tarsu. Zmiana ta napewno wyszłaby nam na dobre. Ale czy możliwe jest, ażeby się Żyd nawrócił? Kto w to wątpi, musi też zwątpić w zwycięską moc Miłości Chrystusowej, której żadne serce nie potrafi się wiecznie opierać,—nawet żydowskie. To my tylko jesteśmy zawadą dla Jego zwycięstwa, bo za-

miast być jego światłością, często świeciliśmy, ale złym przykładem.

Czy rzeczywiście „Żyd jest zawsze materjalistą nastawionym tylko zawsze na swoje osobiste korzyści"? Jest w tem może część prawdy, ale znacznie więcej uprzedzenia i nieznajomości Żyda. Żydzi od dwu tysięcy lat żyją w warunkach anormalnych, bez ziemi, bez ojczyzny, wieczni tułacze. W wiekach średnich przepędzano ich z kraju do kraju i ograniczano w prawach obywatelskich. Żydowi nie wolno było uprawiać roli, nie przyjmowano ich do cechów rzemieślniczych. Jedyne zawody, które im zostawiono, to były: handel i pożyczanie pieniędzy. Te zaś zawody bynajmniej nie sprzyjają rozwojowi najszlachetniejszych i najbezinteresowniejszych uczuć. Ale przecież świat chrześcijański w dużej mierze tak urobił duszę żydowską!

Obecnie również materjalizm jest bardzo silny wśród Żydów, ale czy tylko wśród Żydów? Obawiam się, że nasz tak zwany świat chrześcijański, mógłby się wykazać bodaj że większą jeszcze liczbą wyznawców mamony i tego wszystkiego, co ten bożek swym wiernym obiecuje. Czy naprawdę Żyd nie może zdobyć się na bezinteresowność i poświęcenie? Na to pytanie dzieje odpowiadają twierdząco. Należy sobie tylko uprzytomnić, że tam gdzie płonęły stosy „heretyków" palono też setki i tysiące Żydów, którzy woleli zginąć męczeńską śmiercią, niż dać sobie narzucić „chrześcijaństwo". Lecz poco sięgać do przeszłości, trzeba tylko chcieć patrzeć na teraźniejszość, a ujrzymy dziwne rzeczy.

Po wojnie światowej zaznaczył się wzmożony ruch sjonistyczny, który jest wyrazem przebudzonej tęsknoty narodu żydowskiego za Sjonem, za własną ojczyzną. Tysiące młodych ludzi porzuciło swe warsztaty pracy codziennej, ławy wyższych uczelni i nieraz intratne stanowiska, i szły do ziemi ojców, by w pocie czoła zdobywać pustynię i zamieniać ją na kwitnące ogrody pomarańczowe i urodzajne pola. Nieraz płacili też daninę z życia, daninę, którą zbierała malarja lub zazdrosny Arab. Na drogach palestyńskich, pod zabójczym żarem podzwrotnikowego słońca tłuką kamienie ludzie, z których niejeden mógłby się wykazać wyższemi studjami. Do wznoszących się nowych gmachów dźwigają cegły często dziewczęta, których do niedawna jedyną troską były eleganckie suknie i wykwintny manicure. W ten sposób buduje się nowa Palestyna, która chlubi się ze swych wzorowych kolonij rolniczych, licznych wsi i miast. W ten sposób powstało jedyne na świecie nowoczesne miasto żydowskie o 60 tysiącach mieszkańców—żydowska Gdynia. Turyści, którzy przybywają do Palestyny, nie mogą dość nadziwić się tej zmianie, która zaszła w psychice tamtejszego Żyda. Pytają się, co się stało z tymi handełesami i innymi luftmenschami z dobrze znanych nam wielkomiejskich zaułków krajów europejskich? Oto porwała ich idea, sen o własnej ziemi, a ziemia odwdzięczyła im się, budząc w nich człowieka i jego dostojność.

Czy Pana, Panie Badura nie zastanawiają te fakty? Powiada Pan „my ewangelicy jesteśmy idealistami"—pięknie! ale ciekawy jestem, jak Pan ten idealizm pojmuje? Czy ma on, do czego Pan w swym artykule nawołuje, wyrażać się w gospodarczym względnie społecznym bojkocie Żydów? Zdaje mi się, że taki negatywny „idealizm" jest czemś zbyt lichem, ażeby mógł uchodzić za ewangelicki. Czy ten idealizm nie powinien raczej wyrazić się w usilnem staraniu o urzeczywistnienie Królestwa Bożego przez pozyskanie każdego serca ludzkiego dla tej świętej sprawy? Pan Nasz Jezus Chrystus głosił: Miłuj bliźniego jak siebie samego, święty Paweł wołał: nikomu nie bądźcie nic winni prócz miłości, a święty Jan stawia wyraźnie sprawę pisząc: kto mówi, że Boga miłuje, a bliźniego swego ma w nienawiści kłamcą jest. Jak pogodzić to wszystko z Pańskiem „ewangelickiem" stanowiskiem wobec Żydów? Przestrzega Pan, żebyśmy nie dali zarazić się duchem semickim, ale czy przypadkiem nie zastanowił Pana fakt, że Syn Boży Jezus Chrystus pochodził z narodu żydowskiego, jak o tem wyraźnie świadczą ewangelje? Czy to, że wszyscy Apostołowie z świętym Pawłem na czele byli Żydami i nawet gorąco miłowali swój naród nic Panu nie mówi? Wie Pan, że poza wszystkiem innem jest jeszcze Pańskie stanowisko wobec Żydów powiedziałbym pewnym nietaktem wobec Jezusa i tych wszystkich, którzy, po ludzku biorąc, są krewnymi Jego według ciała.

Wprawdzie niektórzy Niemcy znaleźli sobie wyjście z tej niemiłej sytuacji przez „kapitalne odkrycie" (patrz Houston Chamberlain), że Jezus Chrystus był Aryjczykiem, (bodaj nawet, że Germaninem). Niestety jest to tylko przekręcanie i fałszowanie najoczywistszych prawd historycznych. O wiele konsekwentniej postąpili już ci w Niemczech, którzy głośno wołają, że nie chcą nic mieć do czynienia z żydowską Biblją i Chrystusem. Bo i pewnie, co ma wspólnego Krzyż ze swastyką? Nic! Nie dziwią więc nas takie bluźniercze głosy „Juda Christus verecke" — to stać się musiało. I lepiej nawet, że tak się stało, nikogo bowiem nie wprowadzą więcej w błąd swoim „chrystjanizmem". Ten kto głosi rasowe brednie, ponad prawdę i ponad Chrystusa stawia rasę.

Gdyby Jezus Chrystus, znów przyjąwszy skromną postać galilejskiego Żyda, którą nosił podczas swej ziemskiej wędrówki, przybył dzisiaj do Niemiec i zaczął głosić Ewangelję,

to zdaje mi się, że wnet znalazłby się w obozie koncentracyjnym, przedewszystkiem jako Żyd, a potem jako pacyfista i siewca niebezpiecznych nauk, niezgodnych z duchem germańskim. A gdyby przybył do Polski? U nas chwała Bogu obozów koncentracyjnych niema, obawiałbym się tylko przyjęcia, jakiegoby doznał ze strony niektórych naszych... ewangelików.

P. HULKA-LASKOWSKI.

PRZESILENIE EWANGELICYZMU W NIEMCZECH.

Jeden z najlepszych miesięczników francuskich „Foi et Vie", pisze w №№ 51—52 r. b.) o przesileniu ewangelicyzmu w Niemczech współczesnych. Zdaniem pisma francuskiego przesilenie to jest głębokie i poważne, ale nie beznadziejne, bo w Niemczech nie brak ludzi, którzy zdają sobie sprawę z tego, iż z Kościoła chrześcijańskiego nie można robić narzędzia ciasnej polityki rasistycznej, bez narażenia go na zagładę.

Do najciekawszych szczegółów tego obszernego referatu „Foi et Vie", należą opisy agitacji „niemieckich chrześcijan". Autor artykułu opisuje zebranie agitacyjne „deutscher Christen" w Bonn, dodając, że zebrania takie wszędzie są do siebie podobne jak dwie krople wody. „O godzinie ustalonej pluton szturmowców wkracza na salę krokiem wojskowym i staje na baczność obok stołu prezydjalnego. Jest tam rozwinięty sztandar Kościoła (biały z fioletowym krzyżem pośrodku), zaś obok niego stoją sztandary ze swastyką. Po preludjum na organach, kierownik „niemieckich chrześcijan" Nadrenji wygłasza przemówienie, rozprawiając się specjalnie z teologami liberalnymi, którzy nie wierzą w zmartwychwstanie, i domagając się chrześcijaństwa „pozytywnego". Następnie mówca zajmuje się Barthem (przeciwnikiem niemieckich chrześcijan i obrońcą wolności Kościoła; jest to sławny teolog ew.-reformowany w Niemczech — przyp. nasz), krytykując go przez kwadrans, aby zakończyć przemówienie o nim słowy stereotypowemi: „Czas najwyższy, aby teolog tej miary, co on, zrozumiał, że narodowość (Volkstum) jest nieodłączna od chrześcijaństwa". Potem jest już mowa wyłącznie o polityce. Zebranie kończy się jak zwykle odśpiewaniem trzech pieśni z towarzyszeniem puzonistów, a mianowicie: „Deutschland über alles", „Horst-Wessels-Lied" i chorału Lutra „Warownym grodem" (który kończy się tak doskonale słowy: „...und dein Reich muss uns doch bleiben"). Wszystko kończy się potrójnym okrzykiem „Heil" na cześć prezydenta Rzeszy, kanclerza Rzeszy i wiary ewangelickiej".

Jak już wiadomo biskupem ewangelickim Kościoła w Niemczech miał być znakomity opiekun opuszczonych i zaniedbanych, pastor Bodelschwing, a nawet — rzec można, że nim jest, bo został na biskupa wybrany. Ale po wyborze tego znakomitego działacza, powstała nagonka „niemieckich chrześcijan" przeciwko niemu i ostatecznie skończyło się — przy wydatnem poparciu władz państwowych — zwycięstwem rasistów. Biskupem został pastor wojskowy Müller, a szlachetnemu Bodelschwingowi odebrano wszelką możność komunikowania się z wiernymi.

Ciekawe jest to, że wszystkie koła ewangelickie w Niemczech korzystały z każdej nadarzonej sposobności, aby zgłosić swój akces do ruchu narodowo-socjalistycznego przez „radosne tak!" (ein freudiges Ja!) i że nie było, niestety, głosów krytycznych, któreby się ozwały w obronie wolności ewangelickiej. Chodziło, oczywiście, o zamanifestowanie nazewnątrz jedności narodowej, ale swoją drogą można było podkreślić stanowisko ewangelickie, które jest w gruncie rzeczy uniwersalistyczne i nigdy nie powinno zniżać się do poziomu narzędzia politycznego. Sprawiedliwość każe przyznać, że zrazu odzywały się głosy w obronie zupełnej i całkowitej wolności Kościoła ewangelickiego, można było nawet przypuszczać, że zaczyna się dyskusja na ten temat, ale nagle głosy te zamilkły i zapanowało milczenie. Komisarze rządowi zabrali się bardzo energicznie do wszelkiej opozycji i na widowni walki pozostali tylko zwycięzcy „niemieccy chrześcijanie".

Wielkim wyjątkiem i wyłomem jest tu znakomity teolog niemiecki, Barth, autor dzieł, przeciwstawiających się rozkładowemu i demoralizującemu wpływowi teologji liberalnej, która krytycyzmem swoim rozłożyła sameż podstawy wiary chrześcijańskiej, ale nie zdo-

była się na odwagę wysnucia wniosków ze swoich założeń naukowych. Przeciw niej tedy wystąpił przed laty ew.-reformowany teolog Barth szeregiem dzieł i wykładów akademickich, co mu zjednało rozgłos po całym świecie, i dzisiaj on właśnie zabiera głos, aby poddać krytyce postawę i działalność „niemieckich chrześcijan" a także postawę władz osłaniających i zachęcających tę ich działalność. Największą uwagę zwróciła na siebie jego broszura „o istnieniu teologicznem dzisiaj" („Die theologische Existenz von heute").

Nagłówek tej broszury jest nieco zagadkowy, ale być może rozmyślnie wybrany, aby broszura zbyt zdecydowanym tytułem nie ściągnęła na siebie uwagi cenzora, zanim zdoła dotrzeć do czytelników. Rozeszła się w kilkunastu wydaniach, co jest tryumfem nielada, jeśli się weźmie pod uwagę warunki prasowe trzeciej Rzeszy. W broszurze swojej Barth wypowiada się stanowczo i energicznie przeciwko rasizmowi w Kościele, wywodząc, że Kościół nie może być ani narodowy, ani nawet międzynarodowy, gdyż jest instytucją ponad-narodową. Oczywiście, że i naród niemiecki należy do Kościoła i ma w nim swoje prawa, ale nie Kościół jest w narodzie, lecz naród jest w Kościele.

W Niemczech przy zasadzie „Gleichschaltungu" i „wodzostwa", biskup ewangelicki dla całej Rzeszy ma, zdaniem Bartha, stanowisko nieco dwuznaczne. O cóż bowiem chodzi? Czy o superintendenta generalnego, o rodzaj biskupa skandynawskiego, czy anglikańskiego? Jeśli tak, to doprawdy za wiele powstało hałasu dokoła sprawy względnie błahej. Jeśli natomiast chodzi o coś poważnejszego, o wodzostwo autorytatywne, w takim sensie, w jakim Hitler jest wodzem politycznym narodu niemieckiego, to Kościół ewangelicki w Niemczech byłby na drodze hierarchji rzymsko-katolickiej i wyrzekałby się tego, co dotychczas zawarte było w pojęciu wolności ewangelickiej. Walka więc o to, czy Bodelschwing, czy też Müller, nie była walką personalną, ale akcją głębszą, hazardowną i podważającą sameż zasady kościelnego życia chrześcijańskiego. Pozatem zasada „Führera" w Kościele jest istnym nonsensem. Nie można przecie ustalać obowiązków dygnitarza świeckiego czy duchownego zgóry, aby następnie wybrać „wodza". który będzie nie wodzem, ale funkcjonarjuszem.

„Tam, gdzie w Jezusie Chrystusie widzi się jedynego Przewodnika, tam jest prawdziwe istnienie teologiczne... Tam zaś, gdzie niema istnienia teologicznego, gdzie poszukuje się przewodnika kościelnego, zamiast przewodnika w służeniu, które jest nam nakazane, — tam każdy „Führer" jest równie obojętny i pusty, jak wołanie kapłanów Baala: „Baalu, wysłuchaj nas!"

Takie jest stanowisko Bartha. Jest to stanowisko jedynie zgodne z zasadami Kościoła ewangelickiego, ale dzisiaj rządzą w Niemczech zasady inne. Niekonsekwencja rasizmu związanego z chrześcijaństwem jest zbyt jaskrawa, aby trzeba było specjalnie rozwodzić się nad nią. Ewangelja nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, że nie można służyć dwóm bogom. Już pierwsi chrześcijanie rozumieli doskonale, że królestwo Boże nie jest i nie może być związane z jakiemkolwiek królestwem tego świata. Podczas prześladowań chrześcijan w państwie rzymskiem, chodziło o rzecz względnie drobną: o ofiarowanie bóstwu państwowemu ziarnka kadzidła. Można było nie wierzyć w bóstwa państwowe, byle nie okazywać im pogardy. I oto chrześcijanie szli raczej na śmierć, niż byliby zrezygnowali ze swojej wolności. W pismach ojców Kościoła spotykamy się bezustannie z zasadą odwracania się od świata. W chrześcijaństwie jest pewien rys ascetyczny i tego rysu wymazać nie można. „Nie upodabniajcie się temu światu" — napomina apostół, a cała Ewangelja jest przeniknięta duchem przeczenia światowości.

A czemże jest rasizm? Najmocniejszem podkreśleniem kultu świata, mocy, potęgi. Temu kultowi służyć ma ciało wyhodowane na zasadach eugeniki rasowej. Dla tej zasady mocy świeckiej ma być ze współżycia chrześcijańskiego, z „obcowania świętych" wyłączone wszystko, co w jakikolwiek sposób osłabiałoby rasę i pomniejszało siłę. Jest to więc kult świata i ciała, jakiego dotychczas nigdzie nie widzieliśmy, nawet w starożytnej Grecji, czy w Rzymie. Młody teolog, opracowujący pierwsze referaty podczas ćwiczeń seminaryjnych, wie bardzo dobrze, iż w obszerniejszej Konkordancji przeciwieństwo między światem a Bogiem i jego królestwem zapisane jest na wielu szpaltach niezliczonych cytat. Dla ciała i spraw jego wiara chrześcijańska ma zdecydowaną pogardę.

O tem wiedzą wszyscy. W każdem najdrobniejszem kółku pietystów, jakich nie brak w żadnym zborze ewangelickim, kontrast między światem a królestwem Bożem i między ciałem a duszą jest tą siłą, która owo kółko ożywia. Tem lepiej wie o tem każdy doświadczony duchowny, który latami studjuje Pismo święte i zna dobrze nietylko jego literę, lecz i jego ducha

To też łączenie z sobą dwóch pierwiastków tak zasadniczo wyłączających się wzajemnie, jak kult ciała, w rasie, i chrześcijaństwa, choćby nawet „niemieckiego", jest grubem fatalnem nieporozumieniem. Niestety, takich nieporozumień było w życiu narodu niemieckiego wiele i jeszcze dzisiaj trafna jest formuła uczonego niemieckiego, który powiedział, że Germanie zostali wprawdzie uchrześcijanieni, ale sami spoganili chrześcijaństwo. To, co się

zaczęło przed wiekami i co miało swoje etapy w teologji racjonalistycznej i liberalistycznej, to się właśnie dokonywa w germańskim kulcie ciała, zamaskowanym wiarą chrześcijańską. I w tem jest istota fatalnego obecnego przesilenia.

Gdy w swoim czasie ludzie tacy, jak Goethe, wypowiadali się przeciwko wierze chrześcijańskiej i nazywali się poganami, nie mogło to szkodzić Kościołowi ewangelickiemu, lecz raczej wychodziło mu na dobre, iż z łona jego wyłączali się dobrowolnie ludzie nie wierzący. W tym akcie samowyłączenia była piękna męska odwaga nazywania rzeczy po imieniu. Gdy dzisiaj ze względów politycznych pozostawia się imię chrześcijaństwa sprawom, które są zaprzeczeniem wszelkiego chrześcijaństwa, mamy do czynienia ze zjawiskiem nad wyraz smutnem. Hitler jest katolik i nawet pojęcia zapewne nie ma, jaką krzywdę wyrządza uniwersalizmowi chrześcijańskiemu Kościoła ewangelickiego. Do swego własnego Kościoła rzymskiego nie ma dostępu i nie może tam nikomu narzucać swojej woli, bo zaraz spotyka siłę dogmatu i władzę biskupa rzymskiego. Tam już jest „Führer" i dopóki papiestwo będzie papiestwem, nigdy nie zgodzi się na rządy w Kościele jakiego innego „Führera".

To daje w czasach dzisiejszych olbrzymią przewagę Kościołowi rzymskiemu nad Kościołem ewangelickim w Niemczech i na tem tle bolesnych nieporozumień powstaje arcy-paradoksalna sytuacja, że nawet wierni synowie Kościoła ewangelickiego spoglądają ku Kościołowi rzymskiemu jako ku instytucji, której rasizm ujarzmić nie zdoła i w której łonie przechowa się zasada wielowiekowej mądrości do chwili, w której będzie mogła wyjść z katakumb na światło dzienne. Sprawa przesilenia ewangelickiego w Niemczech jest w istocie swojej jedną z największych tragedyj świata współczesnego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO.

KSIĄŻKA O DYMITRZE SOLIKOWSKIM.

Kazimierz Kosiński. Jana Dymitra Solikowskego Wizerunek utrapionej Rzeczypospolitej Polskiej (Facies perturbatae et afflictatae Reipublicae Polonae). Warszawa 1933. Str. 104 IX str. ilustracyj na specjalnym papierze kredowym. Skład główny Kasa im. Mianowskiego' Instytut popierania nauki,—Pałac Staszica.

Daleko nam jeszcze do wyczerpującej i wszechstronnej znajomości dziejów umysłowości Polski przedrozbiorowej, a jeszcze dalej jesteśmy od tego, aby świat laicki choć w przybliżeniu wiedział o kulturze polskiej wieku XVI-go i XVII-go, ile wiedzieć należy. W podręcznikach literatury spotykamy się niejednokrotnie z nazwiskami i sumarycznemi uwagami dotyczącemi osób niewątpliwie wybitnych, ale charakter tych notatek jest taki, iż wzbudza raczej uczucie lekceważenia w czytelniku, który zadaje sobie pytanie dlaczego historyk podaje wiadomości tak kuse o ludziach, którzy niewątpliwie zasługują na przypomnienie bardziej szczegółowe. Z drugiej strony charakterystyki nawet bardziej szczegółowe nie dają należytego pojęcia laikowi, który nie zna umysłowości danej epoki i jej tła ogólno-kulturalnego. Tak więc dziedzina wiedzy, która budzi w nas nijwyższe zainteresowanie, pozostaje naogół wiedzą tajemną specjalistów.

Z tego stanu rzeczy zdajemy sobie sprawę przy pewnych sposobnościach. Świeżo ukazała się książka prof. Kosińskiego, niestrudzonego badacza dziejów naszej umysłowości przedrozbiorowej, i z książki tej, poświęconej Solikowskiemu, najwybitniejszemu obok Hozjusza i Karnkowskiego działaczowi reakcji katolickiej, dowiadujemy się nietylko o Solikowskim, ale także o tem, jak mało naogół wiemy o dziejach kultury ojczystej. Książka prof. Kosińskiego jest typowem wydawnictwem akademickiem. Autor informuje nas szczegółowo o Solikowskim, przytacza głosy o nim wszystkich historyków literatury, a następnie streszcza, omawia i ocenia jego utwór poetycki „Facies perturbatae et afflictatae Reipublicae Polonae".

Utwór jest typowy i rzec-by można schematyczny. Znamy już bogatą literaturę naprawiaczy Rzeczypospolitej oraz utwory typu narzekań na zepsucie i na grożącą społeczeństwu zagładę. Szymon Starowolski ze swoim „Lamentem utrapionej matki Korony Polskiej" jest typowym przedstawicielem tej literatury naprawiackiej i płaczliwej. Jej początki sięgają czasów Ostroroga a końca im dotąd nie widać, gdyż i w naszych czasach pojawiają się obszerne dzieła o naprawie naszych urządzeń politycznych i społecznych. Różnica może jest tylko w tem, że w wieku XVI i XVII zako-

rzenił się w autorach naprawiackich i narzekających jakiś posępny pesymizm. Przeciętny czytelnik dzisiejszy omija tę literaturę jako mało ciekawą i zgoła niepociągającą, zaś młodzież akademicka, która zajmować się nią musi programowo, traktuje ją jako konwencjonalną nudę, jako literaturę balastową, pozbawioną wszelkiego znaczenia dla naszych czasów obciążonych problematyką tak zasadniczo różną od tamtej. Treść tej literatury jest nieciekawa naogół, a to dlatego, że zło społeczno-polityczne widzimy dzisiaj w innych płaszczyznach, niż je widzieli nasi dalecy przodkowie; a zarazem jest nudna, gdyż doskonałość form dzisiejszej literatury psuje nas na każdym kroku.

Druga rzecz, najważniejsza bodaj, gdy chodzi o zdanie sobie sprawy z naszego stosunku do literatury naprawiackiej XVI i XVII wieku jest to, że autorzy dający społeczeństwu recepty na naprawę Rzeczypospolitej, albo narzekający nad zepsuciem obyczajów, mieli do rzeczywistości polskiej równie fałszywy stosunek, jak w swoim czasie fałszywie oceniał rzeczywistość rzymską naprawiacz Katon, który słusznie uważał, że należy naprawić obyczaje, ale zarazem naprawę obyczajów doprowadzał do absurdu, gdy nie chciał nosić tuniki i uważał, że dla tego samego jest już podobny do Romulusa.

Reformatorzy obyczajów i instytucyj państwowych wieku szesnastego byli ludźmi, którzy poprostu nie umieli zdać sobie sprawy z dynamiki czynnika gospodarczego w państwie. Zasugestjonowani potężnie feudalizmem swoich czasów, swawolę człowieka brali niejednokrotnie za wolę Bożą, a podział na kasty uprzywilejowanych i upośledzonych za wyraz ustanowień idących bezpośrednio z nieba. Nie należy zapominać, iż autorowie ci należeli do klasy panującej i rządzącej, a więc uprzywilejowanej, i i że było im wyjątkowo miło widzieć wolę Bożą, w tem, co im dawało przywilej. Toteż narzekanie ich było zawsze bardzo ogólnikowe i unikało wszelkich konkretnych programów, które w jakikolwiek sposób uszczuplałyby prawa szlachty wobec chłopów. W atmosferze form kultury chrześcijańskiej, ożywionej reformacją Lutra i Kalwina, chodziło zawsze o odnowienie ducha braterstwa i poświęcenia, podczas gdy prawa w państwach tworzył zawsze egoizm klas panujących. Te banalne fakty znane nam dzisiaj tak dobrze i tak wszechstronnie rozumiane, nie docierały do świadomości ludzi z przed trzech wieków i dlatego naprawę społeczeństwa i państwa widzieli oni w sferze nierealnych ideałów. I to właśnie czyniło ich pisma nieaktualnemi już w chwili ukazania się ich, a dla nas czyni je tembardziej nieaktualnemi, iż nie widzimy w nich niczego, co mogło było realnie i mocno oddziałać na umysły i stosunki społeczne przed trzema wiekami. Jednem słowem w perspektywie własnego doświadczenia dziejowego widzimy, iż reformatorzy stosunków politycznych i społecznych oraz obyczajów zabierali się do rzeczy w sposób zupełnie niepraktyczny.

Przykład Jana Dymitra Solikowskiego, którego udostępnia nam świetna pod każdym względem praca profesora Kosińskiego, poucza nas, że ci ludzie, którzy stawiali sobie za cel naprawę społeczeństwa, zgóry niejako byli przekonani o bezskuteczności swoich usiłowań. Byli to pesymiści urodzeni: ubolewali nad upadkiem społeczeństwa, stwierdzili ten fakt upadku, udzielali rad w jaki sposób należy przystąpić do naprawy, ale nie wierzyli, aby ich rady mogły zostać przyjęte i aby mogły zdać się na co. Stąd w czytelniku dzisiejszym budzi się podwójne wrażenie pustki.

Solikowski był pesymistą górującym swoim pesymizmem nad innymi reformatorami państwa i społeczeństwa. Urodził się w roku 1539, umarł w roku 1603. Życie jego było równie schematyczne, jak schematyczne były jego narzekania nad stanem zepsucia społeczeństwa. Pochodząc z rodziny niebogatej, musiał „poświęcić się" stanowi duchownemu, co przy pewnych zdolnościach i poparciu możnych tego świata dawało rękojmię, iż zdobędzie pożądane środki materjalne nietylko dla siebie, lecz i dla rodziny. Jego karjera duchowna doprowadziła go aż na stolec arcybiskupi, czyli bardzo wysoko, ale karjera ta była powikłana sprawami i misjami politecznemi, które do urzędu duchownego niebardzo pasowały. Solikowski, który narzekał nad utrapieniem Polski i zepsuciem obyczajów, nie umiał i nie chciał dostrzec, że w sumie tego zepsucia sam stanowił jedną z pozycyj, gdyż jako duchowny, który ślubował dobrowolnie ubóstwo, bystrze umiał zabiegać o łaski możnych tego świata, rozdających przywileje i prebendy o wielkich dochodach.

Być może, iż sam, przynajmniej podświadomie, odczuwał fałszywość swej pozycji i dlatego nie wypowiadał się jasno, wyraźnie, rzeczowo, jak np. wypowiadał się Frycz Modrzewski, ale tarzał się w wyuzdanej symbolice i w alegorjach, dopuszczających komentarze bardzo różnorakie. A w dodatku i te symbole i te alegorje ubrane były w zdarte schematy retoryki łacińskiej. Gdy z odległości trzech wieków spoglądamy na jego dzieło literackie, które nam odtwarza profesor Kosiński, mamy niezachwianą pewność, że Solikowski nie przejmował się swoim tematem, ale poprostu szedł za modą literacką i poruszał temat aktualny. Nie był on prorokiem, z tych, którzy wszelką naprawę zaczynali zawsze od siebie: zepsute było społeczeństwo, chwiały się dobre obyczaje, niebezpieczeństwo zagrażało Rzeczypospolitej. Ale to były alegorje wyrażane po pierwsze symbolicznie a po drugie po łacinie. Gdyby mu był ktokolwiek kazał wskazać na tych,

którzy zepsuli obyczaje i życiem swojem doprowadzili do upadku Rzeczypospolitej, byłby się może zakłopotał.

Wiszniewski w swojej dziesięciotomowej „Historji literatury polskiej" wyraża się o Sołokowskim niebardzo pochlebnie. „Mimo wielkich zalet osobistych i pochwał — wywodzi Wiszniewski w tomie VII wspomnianej Historji literatury, — któremi go współcześni obsypywali, nieubłagana historja nas uwiadamia, iż wszystkie jego czynności (bo w ogólności do wszystkich najważniejszych spraw krajowych chciwie się mieszał) były zgubne dla kraju: on najgorliwiej sprowadzał z Francji Walezjusza i zbiegłego najdłużej bronił i do powrotu nakłaniał; on najmocniej powstawał na konfederację, zapewniającą pokój między inaczej wierzącymi, i za to Krasińskiego biskupa potępiał; on chcąc lwowskich wyznawców cerkwi wschodniej do przyjęcia nowego kalendarza przymusić, niesłychanych w Polsce gwałtów dopuszczał się; on najczynniej mieszał sprawy elekcyjne, w sposób najszkodliwszy dla kraju. Choć obsypany łaskami od Batorego, napozór tylko był mu przychylnym, w rzeczy go nienawidził..." I t. d.

Jednem słowem był to człowiek, który, mając na względzie interesy osobiste, szedł do karjery drogą najprostszą, a pragnąc zapewnić zwycięstwo rzymskiemu katolicyzmowi, nie wahał się zaryzykować interesów Rzeczypospolitej i tego społeczeństwa, nad którego zepsuciem narzekał sobie po łacinie, alegorycznie i symbolicznie. Wiszniewski wylicza te niełądne strony charakteru Solikowskiego w kilkudziesięciu wierszach na stronicach 440 i 441 VII-go tomu swojej „Historji literatury", dodając, że tylko jego wziętość, którą zawdzięczał miłym formom towarzyskim, wpłynęła na sąd o nim, korzystniejszy, niż na to Solikowski zasługiwał. I właśnie gdy taki człowiek zaczyna narzekać nad zepsuciem obyczajów, w treści i w formie jego utworu wyczuwa się fałsz wewnętrznej pustki. Gdyby go te sprawy naprawdę obchodziły, nie byłby układał wiersze łacińskie na ten temat i dobierał do nich alegoryczne rysunki, ale byłby rzetelnie po polsku powiedział co należy i komu należy.

Działalność jego nieliteracka nabiera żywszych rumieńców, gdy chodzi o sprawy rzymskie. Te właśnie sprawy przylgnęły mu były do serca i dlatego potrafił zabierać się do nich nie — alegorycznie i nie — symbolicznie, ale bezpośrednio, żywo, z przyjęciem. Ponieważ z Hozjuszem i Karnkowskim tworzył trójcę ludzi najżywiej zainteresowanych w restauracji katolicyzmu rzymskiego w Polsce, możemy sobie żywo wyobrazić, że o tej sprawie nie byłby mógł układać konwencjonalnych wierszyków łacińskich. Tu trzeba było rzucić na szalę całą osobę i przed tem nie zawahał się Solikowski. Sprawa zepsucia obyczajów w Polsce była dla niego tematem literackim, a jego pesymizm podobnież.

Profesorowi Kosińskiemu należy się słowo rzetelnej podzięki, że odkopał dla nas tę postać i zaktualizował nam ją przypomnieniem utworu Solikowskiego o „utrapionej Rzeczypospolitej Polskiej". Na żywym przykładzie widzimy tu, że w literaturze naprawiackiej w. XVI i XVII było dużo konwencjonalnego i fałszywego, niejako poprostu nałogowego. Pisarze temat podejmowali, ale żaden nie zaczynał naprawy od samego siebie i wszyscy oczekiwali naprawy od innych. Było to fatalne i doprowadziło do tragicznego załamania się społeczeństwa, tak wybitnie spożywczego, a tak niewspółmiernie mało twórczego. Ponieważ historja jest nauczycielką życia, winniśmy uczyć się od niej. A właśnie książka prof. Kosińskiego dostarcza tematu nauczającego tak wiele, iż miło nam jest polecić ją uwadze naszych czytelników.

P. Hulka-Laskowski.

DUSZA PÓŁNOCY.

(Recenzje krytyczne).

Poniżej podajemy recenzje krytyczne o drukowanem w „Jednocie" dziele profesora Balaweldera p. t. „Dusza Północy".

„Kurjer Poranny" z dn. 7 października 1932 r.

Piśmiennictwo podróżnicze Polski odrodzonej nie jest zbyt obfite. Znane są czytającemu ogółowi nazwiska Goetla, Ossendowskiego, Makarczyka, Lepeckiego, Fularskiego i innych, ale słusznie pisze profesor Jan Rostafiński w artykule, poświęconym temu piśmiennictwu, że stosunek ilościowy naszej literatury podróżniczej do angielskiej czy francuskiej ma się jak jeden do stu. Dlatego każdy wartościowy wkład do niej należy witać z radością, ponieważ, jak mówi A. Świętochowski, „książki podróżnicze posiadają tę szczególną wartość, że nietylko rozszerzają zakres naszych przeżyć, ale je przetwarzają".

Do takich książek należy właśnie „Dusza Północy", napisana przez geografa, który jest jednocześnie artystą.

— Ej, geografjo — mówi on w jednej ze swoich licznych dygresyj — możesz stać się królową nauk. Tylko ucałuj się ze sztuką. To nie będzie mezaljans. Kto wie, czy natura nie jest bardziej sztuką niż nauką, czy jej Stwórca nie jest zarówno artystą, jak myślicielem".

W każdym razie jedno jest pewne: duszę Północy ukazuje nam w swej książce w równym stopniu artysta jak i myśliciel. Od pierwszych wrażeń poczynając — wrażeń, których dostarczyła mu Kopenhaga — a kończąc na świetnych opisach Nordkapu, Lofotów i fiordów — wszędzie potrafi on kojarzyć niezwykłe poczucie kształtu i przenikliwą obserwację życia z refleksją zawsze głęboką, a czasami sięgającą wyżyn poezji.

„Jesteś, fiordzie, dzieckiem rozszalałych potoków — orzekli geologowie. Choćby się nawet mylili, jedno jest pewnem: kataklizmy, boje straszliwe powołały cię do życia. I dlatego jesteś nietylko piękny, ale mocny i wieczysty. I dzieci twoje, co tu mieszkają piękne dusze mają, mocne i wieczyste. Daj Boże, abyś cudu uwiecznienia i upiększenia dusz dokonywał i z tymi, co aż tutaj przybywają, aby cię podziwiać".

W cytacie tej zawarty jest—jak sądzę—zarówno cel podróży, którą przedsięwziął autor, jak i przewodnia myśl jego książki. Bo istotnie niema w niej nic z pospolitego reportażu podróżującego snoba, nic z sentymentalnych zachwytów nienasyconego zawodowca-turysty. Przeciwnie — wszelki łatwy sentyment druzgotany jest bezlitosnem szyderstwem. W naturze, w ludziach, w myśli i uczuciu własnem—doszukuje się autor przedewszystkiem pierwiastków cichej, skupionej mocy.

„Dusza jest przebogatą potęgą—pisze Mikrokosmos, wszechświat, w którym jest wszystko w drobinach. Drobina staje się wielkością, kiedy się zetknie z przyrodą i gdy się z nią zbrata"...

„Wjechaliśmy tedy w krainę mocy — zwierza się dalej ze swych wrażeń. — W krainę mocy przyciszonych, okupionych, zwartych w sobie, tajemniczych. Gdzie pod nami, w głębinach miljard żyć przesuwa się cicho. Gdzie potężny miecz Golfstromu, wydobyty z kraju gorącego słońca, przebija bezszelestnie lodowatą pierś Północy. Gdzie wyrósł Wiking, z duszą gór, sercem morza, topiącego lody, z cichością skromną utajonych żywiołów. Gdzie siedzi Norweg pobożny, małomówny, a mocny".

Jakaż jest dusza tej krainy — jak ją nazywa autor — dusza Północy? Ukazała się ona naszemu podróżnikowi na szczycie Nordkapu, nad przepaścią krok od śmierci. Wśród straszliwej samotności, gdzie „mogłoby stanąć sto tysięcy ludzi obok siebie, mogliby mówić, krzyczeć, obejmować się we wspólnym uścisku — a każdy jednak czuć się będzie samotnym najczarniejszą samotnością: samotnym wobec przyrody, rozpostartym na grobowcu ziemi. Za dużo na trumnę, za mało do życia".

Tu na szczycie Europy, zapatrzony w krainę śmierci i w przedziwny los tych, co w poszukiwaniu Nieznanego poświęcali trud swój i życie dla zbadania tajemnic — zapatrzony w grozę, moc i poświęcenie — autor tak się spowiada ze swych wrażeń i myśli:

„O, ludzkości! Na upalnej podzwrotnikowej piersi Ziemi potrafił Bóg najpierw do ciebie przemówić. Na gorącem sercu Ziemi objawił ci twoje serce. Poznałaś miłość dla tego, co żywe.

Ale pozostał strach przed śmiercią i przed wszystkiem, co obcem jest twemu sercu... Modlitwa twoja stawała się coraz bardziej lękliwą i spokorniałą. Bo na ziemi oprócz serca są krainy wiecznych lodów i niezbadanej śmierci: wrota do groźnej otchłani Kosmosu. Nie zdobyć ich ani prześwietlić uczuciem. Na podbój ich objawił Bóg nowy cud: wolę i rozum. One nie lękają się tajemnic i śmierci. Idą na ich spotkanie, aby je poznać i przez ich dziedziny dążyć nieustannie ku Bogu".

Tę wolę, ten rozum, ten świat, który pokonał uczucie — a jednak ciągnie ku sobie magnes, za którego igłą zwraca się serce Ziemi — tu właśnie znalazł autor — i ujrzał w nich, poznał, pokochał — duszę Północy.

Doprawdy — warto przeczytać tę książkę, z której tchnie miłość wyżyn, surowej ofiarności, niestrudzonej walki z grozą śmierci i tajemnicy. Bogata jej treść geograficzna, etnograficzna i historyczna (bo autor w krótkich syntetycznych obrazach przedstawia nam i dzieje północnych ludów) przesycona jest chłodnem, spokojnem pięknem filozoficznej myśli, co przenika w olbrzymi świat duszy ludzkiej—i szuka skrzętnie, z uporem i nadzieją, skarbów zawartej w niej prostoty, głębi i mądrości.

Leon Rygier.

* * *

„Rocznik Literacki" 1932 r. str. 205:

Autor jest geografem, ale w książce swej nie męczy pedanterją fachowego opisu, umiejętnie dawkując wiadomości o zwiedzanych krajach i przeplatając je pełnem humoru opowiadaniem o perypetjach podróży. Dzięki temu książkę czyta się przyjemnie...

* * *

Odczyt, wygłoszony w lipcu 1932 r. przez Lwowskie Radjo w tygodniowem Sprawozdaniu z nowo wydanych książek.

Ukazała się teraz bardzo interesująca książka z podróży po Danji, na fjordy Norwegji i Nordkap, Romualda Balaweldera p. t. „Dusza Północy".

Wszystkie naogół wspomnienia z podróży są bardzo do siebie zbliżone, zmieniają tylko tło i sposób ujęcia widzianych obrazów, lecz sam motyw, motyw uwag podróżnika zostaje prawie zawsze ten sam. Tymczasem książka Romualda Balaweldera odbiega od przeciętnego szablonu opisów i daje bardzo ciekawe ujęcie, obserwacje i refleksje, jakie w czasie podróży autor poczynił. Widać, że posiada on wielką żywość umysłu, przy równoczesnym głębokim poglądzie na każdy z zaobserwowanych faktów. Obserwacje tu podane są trafne, szczere i nie wymuszone, okraszone werwą i humorem, który jakkolwiek czasami może zbyt prostolinijny, jednak ukazuje, że autor umie cieszyć się życiem i patrzeć nań jasnemi oczyma. — Daje krótkie uwagi o towarzyszach podróży — uwagi te są dobre i spostrzegawcze w zastosowaniu do ogólnego typu podróżujących, jaki to typ wyrażony jest w poszczególnych postaciach, które można zauważyć, że powstają tu z kompilacji. Uwagi te są czasami bardzo subtelnie złośliwe, jak maluśkie ledwodostrzegalne kolce na ładnie kwitnących kwiatach. — Autor posiada w swym stylu pewną malowniczość i trafność wyrażeń.

Przedewszystkiem w całym opisie daje się odczuć wielki kult przyrody, jej tajemnic, nadewszystko wielki kult morza. Widać tu tę wewnętrzną myśl człowieka, myśl pamiętną, zdającą sobie sprawę z każdego odruchu duszy, jakie wywołuje w niej bezpośrednie, nagłe zetknięcie się z naturą. Lecz autor stara się jakby wstydliwie sentyment ten ukryć, pod leciuchnym sztucznym nawet cynizmem, który przecież nie jest mu wrodzony.

Opis geograficzny kraju podany jest pod oryginalną formą, bez suchego cytowania notatek naukowych, co daje wrażenie lekkości i swobody, nie tracąc równocześnie na swej wartości rzeczowej. Rysuje Skandynawję słowami. „...Przy zetknięciu bezpośredniem z Skandynawją rzuca się w oczy treść zewnętrzna twardego jej żywota... i t. d."

Zatrzymując się w Bergen, prócz podania obrazu miasta, ciekawie i szczegółowo pisze o Hanzie i jej ówczesnem znaczeniu dla Norwegów.

Autor umie patrzeć i z widzianych przedmiotów, choćby to były drobiazgi, wysnuwa interesujące wnioski, pełne żywych refleksyj. Nad wszystkiem zastanawia się i wszystko tłumaczy czytelnikowi, lecz widać, że wszystko sam pragnie poznać i zrozumiać w podstawach. O architekturze norweskiej pisze: „Jeśli chcesz poznać architekturę, która ma duszę Norwega..."

W miarę pisania, autor nabiera coraz większej werwy, głębokości i rozmachu tak, że jasno uwidacznia się kontrast następnych kartek z pierwszemi, które nie dają przeczucia późniejszych obrazów i myśli. Całość to nie tylko opis podróży, lecz przedewszystkiem studjum Północy, w którem ponadto poruszane są wielkie zagadnienia socjalne, polityczne i ekonomiczne kraju. Niektóre opisy ziemi północnej podane są naprawdę pięknie. Niema w tem silenia się na literacką pozę, lecz jest prawdziwe, szczere odczucie, które już samo przez się mówi słowami pełnemi zrozumienia cudu natury, słowami pięknemi a prostemi... (str. 112)..

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Ze Zboru w Warszawie.

W dniu 31 października r. b. odbyło się Ogólne kwartalne Zgromadzenie Członków Zboru naszego pod przewodnictwem pana vice-prezesa Kolegjum Kościelnego WP. Ludwika Brinckenhoffa. Na zgromadzeniu tem przyjęte zostały do wiadomości protokuły poprzedniego Ogólnego Zgromadzenia z dn. 25 kwietnia b. r. oraz nadzwyczajnego Zgromadzenia Członków Zboru z dn. 11 czerwca, poczem przyjęto również do wiadomości i zatwierdzono sprawozdanie ogólne z działalności Kolegjum Kościelnego w II i III kwartale. Zgromadzeni członkowie Zboru wysłuchali następnie sprawozdania rachunkowego na dzień 30 września r. b., przyczem poszczególni obradujący zabierali głos w sprawie pokrycia niedoborów kasowych Zboru.

Przedstawiono również sprawozdanie ze stanu budowy sierocińca naszego, na gruncie ofiarowanym Zborowi naszemu przez W. małż. Czapek, kosztem których dokonywana jest również budowa domu, mającego w przyszłości być siedzibą sierot Zboru naszego.

W wyniku wyborów do Kolegjum Kościelnego na miejsce ustępujących członków Kolegjum wybrani zostali przez głosowanie: p. Stanisław Srokowski, p. Antoni Górski oraz p. Gustaw Diehl — wszyscy trzej ponownie, oraz p. J. Madey i p. Tadeusz Baum po raz pierwszy.

Przy wolnych wnioskach odczytany został wniosek, złożony przez Ks. Superintendenta St. Skierskiego na piśmie w sprawie ufundowania przez członków Zboru pomnika na grobie ś. p. Ks. Superintendenta Wł. Semadeniego. Celem możności zrealizowania tego projektu otwarta została lista ofiar dobrowolnych Członków Zboru. Wreszcie poruszona została sprawa frekwencji członków obradujących na zgromadzeniach Zboru, niewielka bowiem ilość parafjan naszych na tychże zebraniach stanowi poważną troskę na przyszłość.

Po wyczerpaniu programu Zgromadzenia oraz omówieniu powyższych wolnych wniosków posiedzenie zostało zamknięte.

Ze Zboru naszego w Zelowie.

Zbór Zelowski obchodził w dn. 19 listopada r. b. podniosłą uroczystość otwarcia nowoufundowanego Domu Starców dla współparafjan swoich powstałego staraniem i kosztem miejscowego Koła Opieki nad Ubogimi zboru Zelowskiego.

Aktu poświęcenia dokonał Ksiądz Superintendent St. Skierski w asystencji proboszcza parafji Zelowskiej, Ks. O. Piaseckiego.

Od Brytyjskiego Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego Centrali na Polskę — Warszawa, Al. Jerozolimska 15, otrzymaliśmy prośbę treści następującej:

„W roku zeszłym Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne rozesłało okólnik do wszystkich Kościołów w Anglji z prośbą o modlitwę na intencję pracy Towarzystwa.

W roku bieżącym Towarzystwo zwraca się z taką samą prośbą nie tylko do Kościołów w Anglji, lecz do wszystkich Kościołów Chrześcijańskich całego świata, aby wszyscy, którzy pragną przyjścia Królestwa Bożego, połączyli się w wspólnej modlitwie — w drugą niedzielę Adwentu, 10 grudnia 1933 r. — by Bóg raczył błogosławić pracy Towarzystwa Biblijnego ku Jego Chwale; modlitwa taka, szczególnie w teraźniejszych czasach jest bardzo pożądana. Ze wszystkich stron świata gromadzą się dowody rozpaczliwej wprost potrzeby uświadamiania o Bogu oraz potrzeby Jego Łaski. Nie ulega wątpliwości że dla zaspokojenia tego głodu duchowego przodujące miejsce zajmuje Pismo Święte, które nas poucza o Bogu Stwórcy, Zbawicielu i Duchu Świętym.

Dla świata chrześcijańskiego jedyną drogą odrodzenia życia duchowego jest zrozumienie Objawienia Boskiego. Zaspokojenie tej ogólnej duchowej potrzeby jest zadaniem podjętem przez Towarzystwo Biblijne, a ogrom tego zadania wymaga modlitwy wszystkich chrześcijan, tembardziej wobec zawiłych zagadnień czasów teraźniejszych.

Praca, jaką Towarzystwo Biblijne postanowiło wykonać, rozpowszechniając Pismo Święte na całej kuli ziemskiej, jest bardzo wielka i dlatego śmiemy tu przytoczyć prośbę Apostolską: „Bracia, módlcie się za nas".

Ogłaszając niniejszą odezwę drukiem, prosimy wszystkich współwyznawców naszych o uprzytomnienie sobie, jak doniosłe i wzniosłe są cele Towarzystwa Biblijnego i jak bardzo zasługuje ono na pamięć naszą i daleko idące poparcie z naszej strony.

Kolegjum Kościelne Zboru ewang. reformowanego w Warszawie prosi Szanownych współwyznawców o nabywanie na własność nowych naszych śpiewników kościelnych.

Śpiewniki są do nabycia, w cenie zł. 12 za egzemplarz bez oprawy i zł. 15 w oprawie, w dnie powszednie w kancelarji kościelnej (Leszno 20), w niedziele po nabożeństwie u zakrystjana przy wyjściu z kościoła.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc grudzień 1933 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11.15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Sobota, dn. 2.XII Nabożeństwo wieczorne z Kom. Ś-tą o godz. 7-ej w. . . . Ks. J. Jelen.
2. Niedzieladn. 3 XII (I N. Adwentu) . . . . . Ks. E. Jelinek.
3. Niedziela, dn. 10 XII (II N Adwentu) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . Ks. J. Jelen.
4. Niedziela, dn. 17.XII (III N. Adwentu) . . . . . Ks. E. Jelinek.
5. Niedziela, dn. 24.XII (IV N. Adwentu) . . . . . Ks. St. Skierski.
6. Niedziela, dn. 24 XII (Nabożeństwo Wigilijne) o godz. 3-ej pp. . . . . Ks. J. Jelen.
7. Poniedziałek, dn 25.XII (I-sze Ś-to Nar. Pańsk.) . . . . . Ks. J. Jelen.
8. Wtorek, dn. 26.XII (II-gie Ś-to Nar. Pańsk.) . . . . . Ks. St. Skierski.
9. Niedziela, dn. 31.XII (N. po Nar. Pańsk.) . . . . . Ks. J. Jelen.
10. Niedziela, dn. 31.XII (Zakończenie roku z przyg. do Kom. Ś-ej) o g. 6 . . . Ks. J. Jelen.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł. 150; II str. — 100; III str. — zł. 75; ½ str. — zł. 75, 50, 35; ¼ str. — zł. 40, 30, 20, i ⅛ str. bez względu ua stronę — zł. 20.

STRONY ZWYKŁE cała strona — zł. 100, ½ str.— 50; ¼ str.— 30; ⅛— zł. 20. Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia Matematyczna, H. Zajączkowski, Warszawa, Miedziana 3.